

# Oklaski, które martwią

„Miotelki warszawskie” (widowisko muzyczne w dwóch częściach z tekli Leona Schillera). Wybór tekstów i opracowanie dramaturgiczne — Szczepan Gąsowski i Przemysław Zieliński. Opracowanie muzyczne — Roman Czuby i Wiesław Machan. Inscenizacja — Przemysław Zieliński. Reżyseria — Jagienka Zychówna i Przemysław Zieliński. Scenografia — Marian Garlicki. Choreografia — Jagienka Zychówna. Kierownictwo muzyczne — Mieczysław Nowakowski. Teatr Komedia.

Czy każde przedstawienie, które zbiera oklaski, jest dobre? I czy raczej ma recenzent, jeżeli przedstawienie powitane na premierze owacją nazwie kiczem? Nie ma odpowiedzi kategorycznej na pierwsze pytanie, choć wiemy przecież, że oklaski — podobnie jak frekwencja — są mało precyzyjnym kryterium określającym rangę artystyczną dzieła sztuki. Gdyby im zawierzyć, musielibyśmy powiedzieć, że „Syrena” jest lepszym teatrem niż Piwnica pod Baranami, że „Winnetou” jest filmem lepszym od „Wakacji pana Hulot”; a przecież jest akurat odwrotnie. Na pytanie drugie również niełatwo odpowiedzieć, choć właśnie w tym wypadku chciałbym napisać kategorycznie „tak”. „Miotelki warszawskie” w Teatrze Komedia są kiczem — pomimo że publiczności się bardzo podobają. Nie ma to brzmieć jak sąd negatywny. Ludzie mądrzy twierdzą, że nie ma sprzeczności między jednym a drugim. Kicz — powiadają — jest także kategorią estetyczną, kicz — twierdzą — na ogół się podoba. Kiczowate są często rzeczy akceptowane przez gust powszechny, zarówno

„jelenie na rykowisku”, jak ściany malowane w „pikasy”, dzieła tradycyjne, (Mniszkówna) i propozycje nazywane awangardowymi (ten i ów Albee). Co więcej, kicz bywa często nobilitowany, staje się modny i jest w dobrym tonie kiczem się radować (moda na secesję).

Więc nie o to mam pretensję do realizatorów „Miołetek warszawskich”, że uraczyli nas premierą kiczowatą. Ze za pomysł humorystyczny uchodzi w tym przedstawieniu pokazanie Pięknej Heleny o grubych kształtach, że śmieszyć ma nas scena, w której Sędzinie robi się niedobrze po użyciu alkoholu, że wzruszać nas mają liché wierszyki Or-Ota, wygłaszane smętnym, rozrzewniającą melancholijnym tonem. Żal mogę mieć o to dopiero, że przedstawienie jest firmowane nazwiskiem Leona Schillera, z którego tekli istotnie pochodzą prawie wszystkie teksty śpiewane w tym widowisku — ale którego „pochwała dawnej wesołości” inne miała zgoła cele niż rehabilitację szmiry teatralnej a la stara Warszawa. I po drugie: jeżeli uznać nawet wybór takiej estetyki teatralnej za słuszny, to wymagać trzeba fachowej sprawności realizacyjnej. Przedstawienie w Komedi — realizatorów wymienia metryczka u góry — jest wszakże na dobitkę słabutkie reżysersko, mierne aktorsko, tanie i prymitywne w efektach scenicznych części pierwszej pt. „Ogródek nadwiślański”, bezradne w scenach zbiorowych (aktorom polecono chodzić w malowniczo, bezładnych grupach) części drugiej, nazwanej „Na warszawskim rynku”.

Ofiarą tego padł nie tylko Schiller (zresztą Schiller pada ostatnio często ofiarą, albo wskutek martwej pieczołowitości, albo wskutek użycia jego puścizny teatralnej dla wstydliwych artystycznie celów), ale i aktorzy występujący w tym przedstawieniu, którym pozwolono na budowanie postaci przy pomocy najbardziej stereotypowych chwytów. Dotyczy to zarówno zespołu wychowanego na wzorach (niech kamieniem rzuci ten, kto nazwie je dobrymi) dawnej Komedii, jak i aktorów, z którymi wiązaliśmy i wiążemy inne zupełnie nadzieje. Za przykład niech wystarczy Zdzisław Leśniak, który z sezonu na sezon płaci coraz większą cenę za to, że pracuje bez kontroli dobrego reżysera.

Tylko dwa razy zasada zostaje złamana: kiedy pojawia się na scenie Anita Dymaszówna, ubiegłoroczna absolwentka warszawskiej PWST, o dobrych predyspozycjach estradowych, umiejąca mówić, śpiewać, tańczyć, ruszać się (to bardzo obiecujący talent, błąda teatrowi, który go zmarnuje), i kiedy brawurową rolę Podłotka wykonuje Halina Kowalska.

Po premierze „Zabusi” wydawało się, że Teatr Komedia zaczyna stawać na nogi. Ze będzie miał nie tylko sukcesy frekwencyjne, ale że dbać będzie chciał (i będzie potrafił) o rangę artystyczną, o sprawność realizacyjną, że zrozumie, iż także teatr popularny, rozrywkowy nie może się wyrzekać własnych ambicji. Nie ma szczęścia ten teatr żoliborski, stale poszturchiwany przez recenzentów — i gorąco oklaskiwany przez własną publiczność. Trochę te oklaski martwią.